

W katolickich „psychuszkach”

19 grudnia 2015

Za klasztornymi murami zakonów żeńskich rozgrywają się prawdziwe dramaty. Zakonnice są upokarzane i odzierane z godności w imię posłuszeństwa.

Posłuszeństwo zakonne jest włączeniem się w pewną misję, w styl i zadania konkretnej wspólnoty i nie jest tak dramatyczne, jak czasem się z zewnątrz wydaje – uważa urszulanka siostra Jolanta Olech. Posłuszeństwo, jakiego zakon wymagał od Katarzyny, było tożsame z okrucieństwem. Miało doprowadzić do zniszczenia i ubezwłasnowolnienia. Na szczęście dla zakonnic stanęli na jej drodze ludzie, którzy wyrwali ją ze szponów klasztornej władzy.

„Proszę zdjąć ubranie zakonne! Po wygłoszeniu z góry przygotowanej formułki przełożona rzuciła się na mnie z krzykiem, złością i wyzwiskami. Zerwała mi z głowy kornet, ale ja założyłam go z powrotem. Broniałam się. Nie pokazano mi przecież pisma zwalniającego ze ślubów zakonnych. Przełożona krzyczała: – Otrzymałaś ostatnie ultimatum, byś się leczyła! Rozpoczęła się szarpanina. Do akcji włączyły się pozostałe zakonnice. Nie miałam siły ani zamiaru z nimi walczyć. Splotłam tylko ręce na piersiach, nie pozwalając się rozpinać. Wtedy dobiegł mnie krzyk przełożonej: – Proszę dzwonić...”

UWIEDZIONA ZA MŁODU

Kiedy Katarzyna, nastolatka wychowywana w niezwykle religijnym domu, postanowiła zostać zakonnicą, ze swoich planów zwierzała się wyłącznie swojemu spowiednikowi. Ten bardzo ją dopingował. W końcu napisała dwa listy – do zgromadzenia misjonarek oraz nazaretanek. Właśnie nazaretanki odpowiedziały jako pierwsze. Zapraszały do klasztoru na rozmowę. Pojechała latem 1938 roku w tajemnicy przed rodziną. Na miejscu zbadał ją lekarz, została wypytana o posag, a gdy się okazało, że ma niemałe

oszczędności – zgromadzone na książeczce PKO odszkodowanie za śmierć ojca w czasie wojny – przełożona oznajmiła, że może przyjeżdżać.

Matka błagała na wszystkie świętości, ale Katarzyna nie zmieniła zdania. Pożałowała tego szybko, gdy na własnej skórze przekonała się, że przełożone „rzekomo zastępują Boga na ziemi, ale dla swych ziemskich celów nie wahają się być tyranami dla swych podwładnych” – jak napisała w pamiętniku, który zatytułowała „Religijny fanatyzm”. Opowiada w nim o największych okrucieństwach, jakich doznała podczas swojego 24-letniego pobytu w zgromadzeniu. I o tym, jak udało jej się uciec z piekła.

Dlaczego wytrwała w habicie tak długo mimo doznanych cierpień i upokorzeń, choć wiele razy myślała o tym, żeby ze zgromadzenia odejść? Lata odcięcia od rodziny, nieznajomość realiów panujących za furta, no i coraz słabsze zdrowie sprawiały, że nie odważyła się na ten krok. „Młode i niedoświadczone dziewczęta trzymane w klasztornych klatkach często dawały się zdominować i ubezwłasnowolnić. Gdy po latach rozumiały swój błąd, trudno było się wycofać i powrócić do normalnego życia. Wstyd przed rodziną i otoczeniem, wiek, stracony czas i brak innych perspektyw życiowych zniechęcały je (...)” – wyjaśnia.

GORSA KATEGORIA

Myślała więc z zazdrością o tych, które zbałamucić się nie dały. Odchodziły, bo nie godziły się na upokorzenia i męczarnie, jakich doświadczały te niższe rangą, czyli biedniejsze zakonnice. W czasach, gdy Katarzyna (imię zakonne Piotra) nosiła habit, podział był czytelny: „Istnieją dwie grupy zakonnice, tzw. pierwszy i drugi chór. Inaczej się ubierają, oddzielnie mieszkają, mają osobne miejsca w kaplicy, stołówce czy podczas zebrań. Krótko mówiąc, jedne to dziedziczki, pozostałe służące (...). Za każde spóźnienie służącej – pokuta. Trzeba klękać i całować ziemię. Wstać można

dopiero, gdy zezwoliła przełożona". Katarzyna na swoje nieszczęście należała do drugiego chóru.

Poniżanie i wykorzystywanie sióstr przekładało się na ich zdrowie. Nierzadko również życie. Patrzyła, jak umierają kolejne jej towarzyszki niedoli. Pracowały ciężko mimo poważnych chorób. Nieleczone i wyszydzane, bo nie pracowały i były „obciążeniem”, umierały młodo, zazwyczaj w zapomnieniu. Jednej z nich Katarzyna towarzyszyła w ostatnich chwilach: „Była spokojna i cicha. Leżała w celi obok kaplicy, gdzie w tym samym czasie przełożona urządziła wielką uroczystość. Były to chyba czyjeś imieniny. Huk, granie i śpiewy zakłócały ostatnie chwile konającej siostry”.

Sama traciła siły, choć długo nie przyznawała się do tego – nie tyle przed władzami zakonu, co sama przed sobą. „Starałam się rzetelnie wywiązywać z nałożonych na mnie obowiązków. Nie chcąc mieć zaległości, dodatkowo pracowałam nocą. Przełożona, widząc zapał, z jakim oddawałam się pracy, systematycznie zwiększała jej zakres. Zwalniając z jednego obowiązku, dokładała dwa inne” – napisała siostra Piotra w swych wspomnieniach.

Mimo uporu i ogromnej determinacji Katarzyna coraz bardziej podupadała na zdrowiu. Dostała nawet lekarskie zaświadczenie o konieczności zaprzestania pracy. Prosiła przełożoną o ograniczenie jej obowiązków, choćby zwolnienie z konieczności sprzątania cel siostrzom z pierwszego chóru. W odpowiedzi usłyszała, że takie ma powołanie – aby być posłuszną i pracować. Tym, że w ogóle ośmieliła się prosić o odrobinę wytchnienia, podpadła. Od tego czasu przełożona robiła wszystko, żeby ją udręczyć. A że zakonnica była uparta i w każdej sytuacji broniła się zakonną konstytucją oraz regułami, w końcu postanowiono ją umieścić w zakładzie dla psychicznie chorych.

KATOLICKIE „PSYCHUSZKI”

Zaczęły się przymusowe wizyty u neurologa, który miał potwierdzić nerwicę i niepoczytalność zakonnicy. Katarzyna przekonała się, jak wiele w klasztorze zależy od woli przełożonej. Wszak nikt nie kontrolował jej działań. „Bóg nie przeprowadza kontroli. Według prawa kanonicznego powinni to robić biskupi, ale kto ich do tego zmusi? Owszem, przyjeżdżają do klasztoru, ale tylko po to, by z wielką pompą odprawić mszę, by ich podziwiano, okadzano i klękano przed nimi, goszczono przy suto zastawionych stołach w rozmównicy”.

Katarzyna – zgodnie z przysługującym jej prawem – udała się w końcu na skargę do biskupa, ale ten nie chciał słuchać o wewnętrznych sprawach sióstr. Po tym zdarzeniu została jednak podstępnie odwieziona do szpitala dla umysłowo chorych. Wyszła stamtąd wyłącznie dlatego, że spotkała życzliwego i mądrego lekarza. Ale ze szpitala znów trafiła do klasztoru, tym razem w innym mieście. Siostry wyzywały ją od pomyłonych i wariatek, a nowa przełożona dolewała oliwy do ognia. „Każda wykonywana przeze mnie praca była krytykowana. Twierdziła, że nic nie robię, tylko się obijam. W jednoznaczny sposób dawała do zrozumienia, że giną w klasztorze różne rzeczy, a osobą, która się do tego przyczyniła, jestem ja” – pisze w swoich wspomnieniach.

I tym razem starała się znaleźć zrozumienie u biskupa. Żeby do niego pójść, wymknęła się potajemnie, bo przełożona zakazała wypuszczać ją poza klasztorne mury. I znowu nie znalazła zrozumienia u hierarchy. Za to spotęgowała niechęć do siebie ze strony klasztornej władzy. „Zabronione zostało prowadzenie ze mną jakichkolwiek rozmów. Musiałam uklęknąć i pocałować podłogę, aby w tej poniżającej godności człowieka postawie powtórnie wysłuchać szeregu kłamstw i oszczerstw. Wszystkie zakonnice powinny unikać mnie jak trędowatej... w imię świętego posłuszeństwa”.

Na mocy tegoż posłuszeństwa Katarzynie zabroniono także wychodzenia z celi. Podczas kolejnej próby przymusowego umieszczenia jej w szpitalu psychiatrycznym usiłowała uciec

przez okno. Złamała nogę. Trafiła do wojskowego szpitala, gdzie troskliwa opieka i ludzka życzliwość działy cuda. „Ten spokój i wypoczynek były mi bardzo potrzebne. Musiałam mieć żelazną odporność psychiczną – stwierdzono – że to wszystko wytrzymałam”.

To wtedy zdecydowała, że po 24-letnim koszmarze do klasztoru nie wróci. Rozpoczęła tułaczkę. Bez żadnego dobytku i grosza przy duszy. Mimo że zakonnice wciąż ją prześladowały, starając się ukryć prawdę o rzeczywistości za klauzurą, udało jej się zacząć życie poza murami. Siostra Piotra, już bez habitu, postanowiła rozliczyć się z przeszłością. Złożyła zawiadomienie w prokuraturze i założyła sprawę w sądzie o znęcanie się. Batalia trwała latami. Zgromadzenie stawalo na głowie, aby udowodnić, że sąd ma do czynienia z wariatką. W wyroku, jaki zapadł po 8 latach (!), napisano jednak: „Najwyższy już czas, by w ten sposób chrześcijański kler wynagrodził choć w małym stopniu, krzywdę, jaką wyrządził”. Byłej zakonnicy przyznano odszkodowanie w postaci raczej symbolicznego dodatku do niewielkiej renty chorobowej, z wyrównaniem za 11 lat. Nigdy go nie otrzymała, bo zgromadzenie tłumaczyło, że jest tak biedne, iż nie ma z czego zapłacić...

Autorstwo: Julia Stachurska

Źródło: FaktyiMity.pl